

Dwie Kronikarki

Jakaś całkiem inna ta zima od tych, które pamiętam.

Miejskie zimy zresztą są inne od wiejskich, mama mi mówiła — i z tym faktem nie ma polemiki. To trzeba sprawdzić, przeżyć samemu.

Tu, u mamy nad rozlewiskiem, zaliczyłam osobiście dwie zimy. Każda inna. Jedna naśnieżona, jakby na pokaz ładna. Taka, aż się prosiła zdobień — lampek, choinki, Bożego Narodzenia, obrzędu. Moja pierwsza Wigilia tu i zima też. Urzekła mnie — białe łąki, biały las, cichy i dostojny, zaciszny — dający znakomite miejsce na zimowe spacer. Raz nawet drzewa pokryła szadź. To dopiero był widok! W Warszawie — nie pamiętam czegoś podobnego, a przecież do parku Paderewskiego chodziłam bardzo często.

A ta druga zima, jakaś... skisła, bezśnieżna, szara. Akurat dla Żeromskiego, on by ją opisał! Od świąt nie było właściwie śniegu, a jak już, to mało i zaraz topniał. Lodowate dni były wilgotne, wietrzne i brzydkie. Po Nowym Roku ścisnął mróz na kilka dni, w lutym też. Bez śniegu to takie ponure i brzydkie, surowe, smutne. I te noce zapadające w środku dnia! Okropność.

Jaka będzie ta następna?

Siedzę przy biurku i piszę te moje wspominki znad Rozlewiska.

Ależ się nadziało! Całe moje życie wywróciło się do góry nogami. Nie sądziłam, że sobie poradzę z takimi zmianami. Przecież nie planowałam tego, nie dążyłam! Po prostu przyjechałam tu odnaleźć mamę i to, jak efekt motyla, uruchomiło lawinę zdarzeń.

Teraz jesteśmy tu dwie kronikarki — ja i Paula. Paula zamieszkała u nas zaraz po... Hola! Po kolei.

O tym, jak tu się zakorzeniłam (w koniecznym skrócie i z małą dywagacją)

Zadomowiłam się tu, na Mazurach.

Mama przepisała mi dom nad rozlewiskiem, geranium i psa, i pensjonat... Mieszkam tu teraz, opiekując się Kaśką, niepełnosprawną umysłowo siostrą mamy, a ze mną mieszka Janusz — mój zielonooki dentysta, i czasem Wacusz — jego tatko — sucharek stareńki i miły. Ale on jest tu tylko wtedy, jak „słabuje”, a to zdarza mu się coraz częściej. Miewa migotanie przedsionków, to je umiarowiają mu w Olsztynie, w szpitalu, ale czasem też pokasłuje, miewa zasłabnięcia, wtedy swoje mieszkanie, to w Pasymiu obok gabinetu Janusza, zamyka na kłódkę i pomieszkuje u nas, pozwala-

jąc się sobą opiekować. Właśnie teraz jest z nami, bo w lutym, jakoś tak pod koniec, znów był w szpitalu. Miał dość groźne zapalenie płuc, bardzo osłabł po nim. Wolimy go mieć na oku, a on chyba też lubi być z nami.

Ponad rok temu wykończyłyśmy pensjonat przerobiony ze zwykłej obory.

Kilka lat temu, gdyby mi ktoś zasugerował, że będę wiejską oborę przebudowywać na hotelik, i to własny, odesłałabym go na odwyk albo kazała wziąć coś na przywrócenie trzeźwości myślenia. Byłam copywriterką, szefową działu, kobietą reklamy w markowych kostiumach i na obcasach... ale nie budowlanicem i hotelarką! Byłam też skwaszoną żoną, niespełnioną i na pół zwiędłą. A tu... Zmiany, zmiany, zmiany!

Pensjonat piękny jest i już drugi sezon daje nam dochód! A w zeszłym roku, jeszcze późną jesienią miałam gości, bo pogoda była piękna, i okazjonalnie, aż do listopada wpadali grzybiarze, rybacy, zaprzyjaźnieni fotografowie. Ostatni byli jacyś filmowcy szukający obiektów do realizowania filmu.

W pensjonacie, w kuchni pomaga mi Ania Wrona. Matka zmarłej tragicznie Karolinki. Wrona straciła ją, bo sama była pijana. Dzisiaj nie pije, jest zapracowana, milcząca i surowa. Ja i mama pomagałyśmy jej dojść do siebie, aż w końcu zaproponowałyśmy pracę sezonową. Lżej mi. Ona jest zaradna i obrotna. Gdy w pensjonacie jest ona, mama i Kaśka, ja mogę poświęcić się swojej nowej pasji. Podpisałam umowę z wydawnictwem na pisanie dla dzieciaków. Lekko mi idą opowiadanka, a ostatnio nawet napisałam wierszem całą historyjkę biurka, które uciekło do lasu.

Zimą pensjonat stoi pusty. Wtedy Janusz ma mnie trochę więcej dla siebie, częściej wyjeżdżamy do Olsztyna, Trójmiasta albo do Krakowa. Do Warszawy jeżdżę sama, Janusz się wykręca, że źle się czuje na warszawskich ulicach. Prawda jest taka, że się nie dogaduje z Konradem, moim byłym mężem, i nie ma w tym niczego dziwnego. Nie lubią się i już.

Zimą mam więcej pracy z wydawnictwa, redaguję też prace dyplomowe i doktorskie. „Zrobiłam” pracę doktorską naszemu politykowi. Znaczący oparłam w stosowną formę. Dość znany, młody, szalenie konkretny. Dobrze płacący!

W tym roku śniegu mało, cały czas za to padało i padało. Drogi rozjeżdżone — masa kałuż i dosłownie zwały błota. Żaden normalny samochód nie daje rady jeździć naszą drogą. Karolakowie jeżdżą na okrętkę — lasem. Tam drogi piaszczyste i twarde. Mnie się nie oplaca, bo nadkładałabym, a ponadto moja terenówka jeździ jak hummer. Koła z mlaskiem pokonują breję, fontanny rzadkiej mazi chlustają mi spod kół, samochód ma kolor — po prostu brudny. Ale jedzie, nie grzęźnie!

Wiktor, dzięki któremu go mam, puszy się i cieszy. Najbardziej, gdy mu posłałam swoje zdjęcie w tej mojej toyocie, upapranej jak nieszczęście. Ja sama na tym zdjęciu mam wielkie piegi z błota, nawet na włosach.

To się stało, gdy wyciągałam z blocka taką paniusię, która ugrzęzła na naszej drodze. Dziennikarka — jechała do Karolaków.

Kiedyś bym się załamała, zapłakała po takim zapadnięciu się w breję. A dzisiaj — wyjmuję filcokalosze z za siedzenia, linkę zaczepiam o drzewo lub o coś, o co można, wrzucam pracę wyciągarki delikatnie, bez szarpania i... wyciągam się z blocka! Tym razem nie wyciągnęłam się sama z blocka, ale gościa Karolakowej. Zaczepiam linkę, wrzucam wsteczny delikatnie i wolno wyciągam jej samochód z blocka. Wyglądałam potem śmiesznie, bo pani zabuksowała kołami, zanim jeszcze wsiadłam do mojej toyoty. Wryła się tak swoim autkiem, że babrałyśmy się z pół godziny, w tym błociszczu. Ale nic to! Mam prysznic w domu! No, tak.

Gdy na naszym podwórku wysiadłam z samochodu po tej akcji, mama aż zaniemówiła z wrażenia, a Kaśka dostała czkawki ze śmiechu. Pani dziennikarka wyjęła aparat i zrobiła furę zdjęć. Potem pojechała do Bartka, bo to jego znajoma.

I właśnie to zdjęcie mnie całej w blocku Wiktor oprawił w ramki i postawił na regale. Że też Monika się zgodziła! No, ale fakt — ja tam wyglądam jak Błotna Rusalka. Wik wsiąkł w życie rodzinne tak, że rzadko kiedy się odzywa. Wysłał mi serwis fotograficzny synka i... szlus! No i dobrze! Jak będzie potrzeba, to się znajdziemy!

Dwa tygodnie temu przymroziło na kilka dni zaledwie i puściło. Znów chlapa, szaruga i ziąb. Wszystko jakieś... brudne. Nawet niebo. Kaśka zaczęła powoli wywoływać wiosnę. Za wcześnie, ale widać tęskni za ciepłem. Wiąże zielone kokardki z krepiny na drzewach. Na krzakach — białe i żółte. Czasem coś śpiewa — mruczy. Postanowiłam i ja przywołać wiosnę. Pojechałam po coś kwitnącego do kwiaciarni, a kiedy wróciłam, wybrałam się do mamy spacerem, żeby się poruszać i dotlenić.

— Mamo? — zawołałam od progu, kiedy tylko weszłam do leśniczówki Tomasza. — Mamo!

Zdjęłam buty i kurtkę, otrzepałam je ze śniegu. Chyba nawet trochę zmarzłam, mimo że jest zaledwie minus dwa.

Pozornie, w taką pogodę nie powinno się marznąć, ale jednak ten chłód z wilgocią przenika bezczelnie i dotkliwie — wszędzie. Gdy szłam przez las, postawiłam kołnierz, chociaż nie było wiatru, a zimne dłonie trzymałam w rękawach.

Powiesiłam kurtkę i wstrząsnęły mną dreszcze.

— Ale ziąb — powiedziałam ni to do siebie, ni to do mamy.

— Stało się coś? Mam akurat gorący barszczyk, chodź! — mój Gnom w zielonym dresie wyszedł z kuchni, trzymając w ręku talerz i ścierkę. Ma wysoko związane włosy w swoją kulkę-koczek i pytający wyraz twarzy. Na czubku nosa okulary z tym rzemyczkiem pełnym koralików i piórek.

Patrzy badawczo znad szkieł, moja śmieszna mama, i czeka — jaką sensację przyniosłam.

Od kiedy mieszka tu, u Tomasza, już na stałe, biegam do niej z jakimiś problemami, gdy akurat nie ma jej u mnie. Teraz jest zima, więc wpada tylko raz, dwa razy w tygodniu. Latem bywa u mnie, nad rozlewiskiem, właściwie codziennie. Pensjonat prowadzimy obie.

Podczas wakacji mamy pełno gości, wtedy mama wie, że trzeba pomóc. Wymyśla menu, deliberuje z Wroną nad kluseczkami do gulaszu, robi plany zakupów i tworzy atmosferę, rozmawiając z letnikami, śląc każdemu swój czarowny uśmiech. Panuje nad pieniędzmi i wgryza się w księgowość, chociaż chyba się w tym roku zdecydujemy na „zewnątrzną” księgową. Przepisy coraz trudniejsze i mamy mi żal. Papierologia nie jest fajna, a kluseczki — są!

A ja? Mieszkam już tu, na Mazurach, na stałe i znalazłam pracę, którą mogę wykonywać dzięki netowi. Po tym, jak popracowałam w wydawnictwie dziecięcym jako korektorka, a wkrótce też i autorka kilku opowiadań dla dzieci, wzięłam udział w konkursie wydawniczym na opowiadanie-pamiętnik.

Zajęłam czwarte miejsce i wtedy jeden z szefów znanego wydawnictwa zasiadający w jury spytał, czy nie spróbowałabym pisarstwa.

To akurat praca dla mnie. Czas — wtedy, kiedy mi pasuje, pieniądze już teraz z dwóch źródeł — źle?

Latem jestem hotelarką, w chwilach wolnych — pisarką. Jeszcze mam nadgodziny jako kobieta domowa. To wtedy, gdy nie ma letników i leniwiej czas, czyli późną jesienią i zimą.

Janusz czasem sarka, że wsiąkłam w pracę tak, że dla niego mam za mało czasu, ale rozumie, że życie wymaga, żeby je złapać za rogi... Sądzę, że się tak droczy i domaga uwagi. Sam zresztą też ma teraz więcej pracy. Mają z Mariuszem opinię dobrych protetyków, i w lecie przyjechało specjalnie do nich kilkoro Niemców od Piernasia robić sobie nowe zęby.

Teraz, zimą, mam więcej czasu dla domu, siebie i dla Janusza, ale dziś musiałam wpaść do mamy.

— Nie! Żadne tam problemy, ale wiesz co? Aż musiałam tu przyjść, bo mnie mała zezłościła!

— Kto taki? — Mama wycierała talerz uspokojona, że nie przyniosłam żadnej hiobowej wieści. Przede mną już paruje kubek barszczu.

— Lady Karolina, księżzowa matka. Spotkałam ją koło kwiaciarni, bo akurat kupiłam sobie jaśminka w doniczce, żeby przywołać wiosnę. Wiesz, jak on pachnie? Jakby w stężeniu. Super — westchnęłam na samo wspomnienie jego zapachu.

— A co ma jaśminek do Lady Karoliny, kochanie?

— No, wychodzę z nim, wążam zadowolona, i natykam się na nią. A ta od razu do mnie z lisim uśmiechem: „O! Kwiaty pani kupuje, pani Małgorzato?”

Okazja jakaś?” „Nie — odpalam. — Tak sobie kupiłam kwiatka, bo tęsknię już do wiosny, bo... jest mi wesoło i to jaśminek ładnie pachnący, w ogóle, tak jakoś, pani Karolino, poczułam się szczęśliwsza!” „O... — powiedziała czujnie. — Szczęśliwsza? A czy w ogóle istnieje takie coś jak szczęście? To, że ma pani dom, matkę, zdrowie i konkubenta, daje pani asumpt do tego, by czuć się... szczęśliwą? Czy to nie egzaltacja, brak pokory?” Zawsze jak indaguje (tak, bo ona nie pyta, ona indaguje!), przechyla głowę i mruży oczy, jakby niedowidziała. „Daje. Jako kobieta jestem szczęśliwa!” — rzuciłam, bo nie chciałam ciągnąć tej dyskusji. „O, to i minimalizm... a myślałam, że pani jest bardziej uduchowiona, wymagająca... Ale skoro takie życie w nieformalnym związku panią satysfakcjonuje, pani Gosiu, i jeszcze... (zniżyła głos) przecież to osoba uzależniona, wybaczy pani, ale mówię jak matka...” Wyobrażasz sobie, jaka wykrętna?! „Jak matka”! — sarknęłam.

— Wiesz... — skomentował Gnom, siadając przy kuchennym stole. — Ona przeżyć nie może, że ty z Januszem niezasłużeniście żyjecie, ich to w oczy kłuje. A ty masz z tym problem?

Mama miała poważny wyraz twarzy, ale zaraz, jak tylko to powiedziała, zrobił jej się filuterny nos. On jej się marszczy tak śmiesznie, że zaraz wiadomo, że się uśmiechnie.

— Jaka matka, taka córka — rzekłam filozoficznie i uśmiechnęłam się, sięgając po makaronika. Zrobiłyśmy sobie po kawie i gadałyśmy, pogryzając ciasteczka, gdy mama spytała:

— Ale jakbyś tak miała się określić, nie przed Karoliną, a w ogóle — szczęśliwa jesteś? Zostawiłam ci na głowie tyle, że aż mi głupio, przecież nie tego chciałaś?

— Oj, mamo. Myślałam tylko o pensjonacie i Januszu, a dostała mi się, fakt, Kaśka i... caaaała reszta. Sporo tego, ale tylko w sezonie. Ale jest Wrona, ty pomagasz, i radzimy sobie. I jeszcze mam czas na pisanie! Nie martw się! Raczej popatrz, jak ja powtarzam twój scenariusz! Pierwszy mąż — niezbyt udany związek, wyjazd na wieś, rozwód, przejęcie gospodarstwa... Tylko z Januszem mam inaczej. Nie chodzimy do siebie, jak ty z Tomaszem. Mieszkamy w szczęściu i spokoju. Amen!

— Dobrze ci z tym wszystkim? Naprawdę?

Mama oparła się łokciem o stół i nadstawiła dłoń. Opieram się o nią policzkiem i patrzymy na siebie z radością w oczach. Mogłabym tak siedzieć cały dzień. To najczulszy maminy gest. I ten jej zapach. Wyczuwam go jak zwierzak. Mama nie używa pachnidła. Jakieś delikatne perfumy okazjonalnie, a na co dzień francuski talk i jakiś dezodorant bez zapachu. W tle to jej geranium, które lubi dotykać albo wręcz wciera sobie roztarty listek za uszy i pod nosem — gdy ją kręci katar. Jej ubranie pachnie nią. To zapach spokoju.

Teraz pełna niepokoju upewnia się, czy jestem szczęśliwa albo chociaż zadowolona.

— Naprawdę? — dopytywała się, chcąc się po raz kolejny upewnić, że zapisując mi rozlewisko, zrobiła dobrze, że to akceptuję i daję radę. Sama przeniosła się wreszcie do Tomasza, bo i on się uspokoił, osadził. Jest już na emeryturze, w swoim ukochanym domu, który wykupił na własność, z ukochaną kobietą, a dookoła jest jego ukochany las — czego mu więcej trzeba?

— Dobrze, mamó. Czuję się potrzebna, Wrona się realizuje jako gospo-
sia, i jest OK!

— A... tатko Janusza ci nie przeszkadza?

— Nie, mamó. Wacuchna jest jak dziecko — wesoly i miły. Czyta albo coś reperuje. Ostatnio klatkę na ptaki, tę ze strychu.

— Chcecie kupić ptaszki?

— Nie. Ale zreperowałam...

— Aaaa — powiedział Gnom, chyba nie rozumiejąc. — A... Janusz? — mama rzuca to pytanie swobodnie, ale wiem, ile w nim troski. Janusz ma chwiejny charakter... W lecie znów miał „drobny incydent alkoholowy”, ale Mariusz, jego wspólnik, dość szybko zapanował nad sytuacją. Znaczą Janusz zapanował pod okiem Mariusza.

— Mamó, już go od tamtej pory nie nosi. Rozczytał się w sensacjach Krajewskiego o Wrocławiu. Tych, które dostał na Gwiazdkę od Tomasza, a od kiedy kupił dekodę, siedzą obaj z Wackiem w National Geographic i Discovery Chanel, właściwie stale. Teraz Janusz snuje plany zwiedzania świata.

— Nie popija? Nie ciągnie go? Wybacz, że pytam.

— Może i ciągnie, ale nie daje żadnych znaków i się trzyma. Jest dobrze!

Zadzwońił Tomasz, że już wraca ze Szczytna.

— Pójdę, mamó. Wyżaliłam ci się. I wiesz, co jeszcze Lady Karolina powiedziała? Że „szczęście jako stan duszy, nie istnieje” — powiedziała to, jakby mnie oświecała. I że „szczęście to ułuda, do której się dąży, ale nigdy nie jest nam dane zaznać go”. Jak dla mnie — idiotyzm, bo wiele razy czułam się szczęśliwa.

— Widocznie nie zaznała niczego, co mogłaby zdefiniować jako szczęście, więc sobie ukuła taką teoryjkę i z nią jej łatwiej. Żal mi jej... — powiedziała mama.

— Nawet za młodu? Gdy była świeżo po ślubie? Gdy urodziła swojego syneczka?

— Gosiaczku, z tego, co wiem, to ona nie była zamężna, a jego poczęcie było przykrym zajściem. Chyba ci mówiłam...

— Żartujesz? — zdumiałam się.

Nie znałam dziejów pani Karoliny aż tak głęboko.

— Skąd wiesz? — dopytywałam się.

— Od Piernackiego.

— A on?!

— Henio? Nie wiem, ale on wie wszystko. Jak go spytasz, to ci powie, że „baby we wsi gadały” i tyle twego... Może to plotka, ale nie sądzę. Więc nawet teraz nie umie czuć szczęścia. No, idź. Masz obiad? Wyciąuj Kaškę, jak ona?

Aż dziwne, bo Kasisko jakoś żyje ze mną, bez Basi. Najpierw się trochę niepokoiła, dziwiła, pytała stale: „Gdzie Basia?”, ale teraz wszystko wróciło do normy. Jest dobrze. Zaakceptowała fakt, że zamiast Basi ma mnie, a Basia mieszka u Tomasza.

Ją, Kaškę — trzeba kochać i zauważać, wtedy jest spokojna i często się uśmiecha, nie ma napadów złości na tle lękowym. Właściwie mam dwoje pensjonariuszy — ją i Wacka. Kaška się bardzo posunęła, szczególnie po tej boreliozie. Posiwiła... Lubi, jak jej buzię nacieram kremami i opowiadam, jak one dobrze robią na zmarszczki. Potem siedzi w pokoju i kontemplanuje się w lusterku.

— Ucałuję! — obiecuję mamie, a także to, że włożę czapkę (wkładam ją!) i wychodzę. Na podwórku daję buziaka Tomaszowi, który właśnie nadjechał i wytaszcza paczki z samochodu, i pokazuję język Bobkowi, który nie lubi nikogo obcego w obejściu, więc wydziera się ze swej budy na cały las. Stary cap! Złośliwe bydło.

— Odwieźć cię? — pyta Tomasz.

— Nieee! Się przejdę, pa!

Wracam. Śnieg leży i cicho jest. Drzewa całkiem jak martwe — nieruchome. W powietrzu czuję wilgoć, chyba idzie odwilż. Szkoda, bo mało śniegu było w tym roku. Mrozu też jak na lekarstwo. Oj, będzie więcej robactwa, myszy...

Idę szybko, bo się ściemnia, zdjęłam czapkę.

Mama dobrze wygląda. To było dobre posunięcie, ta jej wyprowadzka do Tomasza, bo i on się jakiś taki zrobił... mniej kostropaty. Złagodniał. Mama zadziwia mnie umiejętnością tak diametralnej zmiany życia. Mówi się, że „starych drzew się nie przesadza”, a ona, proszę — „się przesadziła” sama, i puszcza listki. Są szczęśliwi. Jak oni się kochają!

Od kiedy rozczytała się w dalajlamie, nabrała dystansu do wszystkiego, co materialne. Śmieszna moja filozofka! Czyta czasem Tomaszowi na głos fragmenty, a on rzuca znad gazety:

— Mądrze gość gada! Pozdrów go ode mnie!

Już widzę zakręt, a za nim to już kilka kroków do naszych łąk. Ta część drogi leśnej jest szeroka i porośnięta po bokach bardzo wysokimi sosnami. Przypomina mi jakąś kolumnadę, z której wychodzi się na nasze pola i po prawej stronie, za chaszczami widać rozlewisko, a dalej nasz staw kąpielowy. Nasze St. Tropez — jak żartuje Tomasz.

Dalej droga prowadzi prosto do naszego domu, a jak pójść jeszcze da-

lej — aż do szosy. Jakieś sto pięćdziesiąt metrów za nami można skrócić w lewo do tych sąsiadów pod lasem, co się palili parę lat temu.

Wtedy przyszli podziękować za pomoc, ale nadal żyją jakoś w odosobnieniu. Piernacki kiedyś węszył, co oni za jedni, ale niewiele wywęszył. Tylko to, że do kościoła nie chodzą ani do katolickiego, ani do ewangelickiego. Ale tyle to każdy wie. Miasteczko huczało, jak się sprowadzili pięć lat temu, że może to zielonoświątkowcy albo jehowi, ale ucichło. Oj, lubią sobie nasi drobnomieszczanie podnieść ciśnienie plotami!

Nas — mnie i Janusza, też początkowo wzięto na języki, a jakże! Gdy Janusz się wprowadził do mnie, nad rozlewisko, zaszumiało w miasteczku potężnie, aż się przestraszyłam, jak to zniesie Wacusz — tatko Janusza.

Spytałam go, gdy był w szpitalu, i siedział sobie w pościeli, taki malutki, w niebieskiej piżamce, i jadł zacierkę na mleku:

— Panie Wacku? Nie złości to pana, że sobie baby używają na mnie i Januszu, że bez ślubu żyjemy? Że takiego ładnego chłopaka im sprzątnęłam sprzed nosa — ja — przyjezdna, i starsza od niego?

A on, nasz sucharek, tylko się uśmiechnął i powiedział do mnie:

— Dzieciaku kochany! Janusio nie pije, szczęśliwy, bo ja to widzę!, to co mnie reszta obchodzi? Ty rozwiedziona, on rozwiedziony, życie sobie zgodnie, ładnie. Za rączkę chodźcie na spacer... Pan Bóg nie jest formalistą i uśmiecha się, gdy tak na was patrzy, bo jesteście dobre dzieci... — tu wzruszył się i musiałam mu podać chusteczkę, jako że owo wzruszenie skropiło mu się na końcu nosa.

Ale mi się porobiło.

Taka ze mnie była kiedyś dama, pani Gosia — menedżer w agencji reklamowej, a teraz wieśniaczka, opiekunka Kaśki i czasem Wacka. Czasem, bo jak Wackowi się poprawia — wraca do siebie, do Pasymia. Chce się jeszcze czasem czuć samodzielny. Wtedy hardziej i mówi:

— No, dość tego! Wracam pomieszkać u siebie!

Wówczas wiadomo, że wpadam do niego ja albo Ania Wrona. Opierze, posprząta, mimo że Wacusz ją goni.

— Pani Aniu, pani mnie zostawi, ja — sam! O, Janusio ma gabinet obok, sam nie jestem!

— O, sam, sam! A potem słabuje pan i państwo się zamartwiają! Tylko mopem oblecę, panie Wacku! Uparty jaki!

Ona mi przypomina Żarnecką z *Nocy i dni*, tyle że zawsze trzeźwa. Od śmierci Karolinki Wrona nie pije twardo. Jej mąż — właściwie stale. Ale ja się nie wtrącam. Ona jakoś to znosi, a jak się na niego obraża, mieszka u nas przez kilka dni. Gdy on trzeźwieje — myje się i przychodzi ją przepraszać. Stoi za płotem i woła:

— Anka! Aaaanka!

Ona wychodzi po jakiejś szóstej, siódmej „Ance” i podchodzi do płotu z założonymi rękoma. On jej coś gada cicho, ona na niego nie patrzy, coś

gmera w piachu czubkiem buta, słucha, wreszcie macha ręką i goni go, że jej się obiad przypała albo co, i wiadomo, że wróci do domu.

Wtedy Wrona jakiś czas ma spokój, bo chłop prawie nie pije, stara się, reperuje coś albo kopie ogród. Potem znów zapija, a jak się nachleje jak śmieć (bo przykładowo zarobił gdzieś jakie grosze), Wrona znów się nadyma i nie wraca do domu przez kilka dni.

Nie zostawi go. Nie lubi o nim rozmawiać. Nigdy się nie dała wyciągnąć na spytki — czemu go nie rzuci? Może, mimo wszystko, kocha? Nikt nie rozumie Wrony — po co go jeszcze trzyma? Ale i nikt nie polemizuje, widać im to odpowiada. Od śmierci Karolinki, od czasu, gdy Wrona przestała pić, bo przysięgła w kościele, a przysięgę przypieczerowała wielogodzinnym leżeniem krzyżem — Wroński boi się jej. To ewidentne. Patrzy z podziwem, choć udaje, że taki sam jak zawsze, ale postawa żony go urzeka. Sam nie umie przestać pić, ale pije mniej, i jakoś zaczął dbać o obejście, o siebie, o nią.

Wrona ma u nas pensję, Piernackiemu czasem pomoże przy łapaniu ptactwa, gdy trzeba odstawiać do skupu. W tym roku są to bażanty. Piernacki kilka lat temu założył hodowlę bażantów, jak mu się gęsi znudziły.

Tak więc Ania Wrona radzi sobie. Zreperowała sobie zęby w Szczytnie (nie chciała u Janusza. Mówi, że by się źle czuła, bo to znajomy, a zęby to intymna sprawa). Kupuje jakieś lepsze ubrania dla siebie i dla tego swojego pijaka, i coś tam odkłada, bo nie wszystko idzie na opał i światło. Na wiosnę chce ocieplić dom i postawić Karolinie ładny pomnik.

Jak jej nie szanować?

No. Już jestem w domu. Słyszę jakiś program o podróżach. Chyba Cejrowski opowiada o Boliwii.

— Janusz! Jestem już! — wołam z kuchni.

Wychodzi do mnie z pokoju i się uśmiecha. Ciągłe lubi, kiedy się do niego tulę. Kołysze mnie w ramionach i całuje po twarzy. Pieszczoch.

— Zmarzłaś? — szepcze.

— Trochę, powietrze jest lodowate. Patrz, już ciemno. A przecież to środek dnia...

— Po sylwestrze, to już z gó...górkami. Zaraz wiosna przyjdzie, to coś w kuchni za...zakwitło!

— To jaśminek, dopiero co go kupiłam.

— Aha, moja Gosia przynosi wiosnę. Chcesz zupy?

— Nie. Jadłam u mamy, idź!

— OK — kiwa głową i wraca do programu Cejrowskiego.

Mój Janusz.

Jak on pachnie sobą! W jego domowym swetrze miesza się zapach jego potu i wody D&G, i ciut tego czegoś, co przynosi ze sobą z gabinetu. Januszowy zapach spokoju. Zapach mojej miłości.

Jestem szczęśliwa, pani Karolino, czy to się pani podoba czy nie. Ko-

cham i jestem kochana. W nocy lubię, gdy mój mężczyzna senny, śpiący, szepcze czasem w mój kark:

— Moja czarownica, kluseczka.

Lady Karolinie nikt nie pachniał całym światem, nie kołysał jej w ramionach, nie zasypiał zmęczony miłością z nosem w jej grzywce. Nie czekał wieczorem z herbatą... albo zupą.

Biedna pani Karolina. Zrobiło mi się głupio za ten wybuch u mamy. Biedna ona. Może nie umiała nigdy sięgnąć po lepsze życie? Lepszy los? Nie miała nawet odwagi pomyśleć, że dla niej Pan Bóg też przeznaczył kawałek tortu, ale ona i takie jak ona sądzą, że im się już nic nie należy, skoro los je skrzywdził.

Los?! Ja wiem, że on jest w naszych rękach. Czasem trzeba wbrew wszystkiemu i wszystkim zrobić coś, co nas uszczęśliwi. Na przykład żyć z alkoholikiem i na dodatek — jąkałą. Patrząc, jak od zamieszkania tu uspokoił się i jak mnie się serce ukoilo. Nareszcie oddycham pełną pierśią i jest mi dobrze, a ona, Lady Karolina? Zawsze w jakichś kleszczach wewnętrznych, barierach, zasadach, kanonach i obwarowaniach i... w tym wszystkim taka nieszczęśliwa! Niespełniona jako kobieta, więc spełnia się jako nadmatka. Hipermatka.

Łatwo oceniać innych. Oj! Za łatwo! Mama mi to uprzytomniła. Moja empatyczna mama, gdy podałam w wątpliwość sens takiego życia, jakie wie dzie Lady Karolina.

— Gosiu, nie uszczęśliwisz innych na siłę. Zostaw!

Na ekranie komputera mail od Marysi:

Mamcik!

W domu wszystko w porządku.

Paula dba o kuchnię i żebyśmy jedli na ciepło (zupełnie jak babcia Zosia), ja sprzątam, bo umiem i wolę to od gotowania. Sporo mnie nauczyła Ula i jednak... Kuba. Ten to miał talent! Jak się ma porządny sprzęt i środki — właściwie sprzątanie samo idzie. Włączam sobie starego, dobrego rocka i jadę! Uli oddaliśmy stary odkurzacz i pojechałam z ojcem po nowy. Jaka maszyna! Kosmiczna technologia, a wygląd, jak ze Star Treka, 19 sezon... Powinien ziać laserowym światłem. Jest lekki i wciąga jak czarna dziura — wszystko. Wora nie ma! Można go myć wodą (może nawet prać w pralce?) i zjada alergeny.

Mopy, wsiażliwe ścierki z mikrofibry i cała chemia nie mają już dla mnie tajemnic. Od jutra mogę jechać do Stanów jako wykwalifikowana sprzątaczką. I to jeszcze grająca na fortepianie!!!

Nie bój się — nie pojedą. Ja i Kuba to za dużo na jedne Stany!

Musiałam się lekko przeleczyć na zapalenie jajnika. Nie wiem, skąd się wzięło. Bolało, więc poszłam, bo sądziłam, że to nerka i... okazało się, że stan zapalny.

Już jest OK. W moim byłym pokoju — tym obok Twojego pokoju, czasem mieszka Olo. Ten z mojej kapeli, który miewa kłopoty mieszkaniowe. Na kumpelskich zasadach!

Twój pokój stoi nietknięty. Przysięgam!

Chodzę na kurs tanga z Adasiem. I to chyba koniec ciekawostek.

Mamo. A Tobie dobrze jest? Na zdjęciach wyglądasz super.

Będziemy w maju, na długi weekend, bo na Wielkanoc Paula chce skoczyć do Francji z Janne, a ja z Adasiem do Koniakowa do jego dziadków.

1000 buziaków — Marynia.

Mój Boże! Jak ona sobie znakomicie radzi! Jest taka... pełna optymizmu, bezproblemowa, lekka. Mądra. Jak dobrze umie postępować z Konradem! On jako ojciec też spisuje się świetnie. Jakoś sobie radzą po moim odejściu tu na wieś... Dobrze. Zawsze mi lżej po takim jej mailu. Zresztą kontaktujemy się często, ale krótko. Taki mail bywa zawsze po dłuższym okresie milczenia pokrzepiający. Długi, konkretny! Cała moja Mania!

Późną kolację zjedliśmy we czwórkę — Wacusz, Kaśka, ja i Janusz.

Wacuchna zrelacjonował nam pogodę, bo zawsze ogląda, a Kasisko było jakieś milczące. Czasem tak ma.

Stałam do zmywania, Janusz wyciera i opowiada mi, co usłyszał od Cejrowskiego na temat Boliwii.

— Pojechałabyś w taką dzi...dzicz?

— Nie.

— Czemu?

— Bo ja się boję robaków i pajaków i... Nie. Wolałabym coś pięknego, ciepłego i bez robaków.

— To nie ma tak.

— Jest! Na Teneryfie, Szeszelach i Mauritiusie, nie ma drapieżników ani robaków.

— Muszą być.

— Na Mauritiusie nie ma, bo są gekoniki, które zżerają robaki i pająki!

— Gekoniki?

— Takie jaszczurki małe.

— Aha. A ja bym wolał A...Amazonię...

Teraz zimą Janusz ma mniej pracy. Gabinet w Nartach zamknięty. Już rok temu Janusz przyjmował tam na zmianę z internistą. Potem zlikwidował tamtejszą praktykę i skupił się tylko na gabinecie w Pasymiu, czasem w Olsztynie.

W tych Nartach, w byłym pokoju przy kuchni, internista zrobił drugi gabinet — zabiegowy, w kuchni poczekalnię, i w lecie ma ruch. Januszowi kapie stały pieniądz, za wynajem.

— Na naszą wielką podróż — mówi Janusz.

Nie wtrącam się. To jego kasa. Jego plany. Widzę, jak cieszy go nagły

zwrot losu. Wyremontowanie chatki po dziadkach w tych Nartach miało sens, a pożyczkę już spłacił. Teraz ma stałe źródło w wynajmu. Swoje pieniądze zarabiane w gabinecie w Pasymiu obaj z Mariuszem inwestują w sprzęt. Strasznie drogi, ale warto. Klientów przybywa, bo zęby w Polsce wciąż robi się taniej niż w Niemczech, Holandii.

Cieszę się, że ma takie plany podróźnicze, że w ogóle jakieś. Odżył. Nie pije. „Wyprostował się” — jak mówi. Niestety zawsze, kiedy tu u mnie, nad rozlewiskiem, pojawiają się moi — czuje się obco. Łazi z kąta w kąt i jak tylko może, ucieka do tatki, do Pasymia, że niby będzie nam, kobietom, i całej mojej rodzinie lepiej bez niego. Mój dzikus.

Kompletnie ogłupiał, gdy przyjechał kiedyś Wiktor z Moniką. Wik, jak to Wik, opowiadał, jak się do mnie zalecał, Monikę to bawiło, a Janusz pochmurniał i nie rozumiał, czemu Wiktor o tym mówi z taką radością.

— Janusz?

Leży w łóżku z książką *Rio Anaconda* i jest pochłonięty treścią albo udaje.

— Januuuuusz! — nawołuję i odkręcam pudełeczko z kremem.

Podnosi na mnie wzrok, ale milczy. O, urażony!

— Janusz, przestań! Sam przecież mówił, że zanim poznał Monikę!

— No... mówił.

— Nie masz, o co... Przestań!

— Nie ro...rozumiem gościa! Je...jest się czym chwalić? Że startował do ciebie? To, takie...

— Daj spokój, zabawne!

— Jak dla kogo. Nie musi się popisywać. Ko...kogut!

Jąka się bardziej — znaczy zły.

Późno już. Wklepuję pod oczy jakiś cud na zmarszczki i zwiotczałą skórę. Opuszkami palców, delikatnie. Potem inny krem, jakiś „zagęszczający skórę i nadający jej jedwabisty blask”. Reklamowy bełkot. Wklepuję go, bo po myciu mam przesuszoną skórę, ale nie widzę, żeby była „zagęszczona i miała blask i jedwabisty połysk”. Za to ma ładny zapach i szybko się wchłania, bo Janusz nie lubi takich, co mu się rozmazują na ustach. Polski, niedrogi krem dla... Janusza.

Wiem, że lekko nabzdyczony, ale czeka na mnie. Gdy wychodzę z łazienki, jeszcze sprawdzam dom — czy pozamykany, pogaszone, wyłączone. Krem już się wchłonął, pozostawiając miłe pachnidełko na mojej twarzy i dekolcie. Zielonooki Potwór już na mnie czeka, łagodnie się uśmiecha, zapomina o fochach i robi miejsce. Śpię po lewej stronie łóżka, które ustawiliśmy prawie pośrodku szczytowej ściany pokoju. Za oknem jest kawałek podwórka, także sadzik śliwkowy, ale ja, leżąc, widzę gwiazdne zagny. Czasem wielki księżyc jak japoński lampion zagląda do nas wścibski, niebieską poświatą. Wtedy utrudniam mu tę ciekawość roletą. Zaciągam ją do połowy okna, bo wtedy nie daje po oczach.

— Niech nas ty...łysy nie podgląda! — burczy Janusz.

Jako wiedźma nie mogę spać, gdy jest pełnia. W ogóle zdarzają mi się problemy ze snem. Wystarczy jednak, że wstanę, wiercę się albo siadam, Janusz mnie dotula. Ma lekki sen. Lekko się budzi, ale i lekko zasypia.

Czasem wystarczy, że mnie przytuli, czasem nie, wtedy poddaje się moim palcom, zaczepkom, budzi się i gryzie mnie w szyję. Mam bardzo czuły kark, więc od razu czuję wzdłuż kręgosłupa taki łagodny prąd. Kończy się jakąś eksplozją na koniuszku i już wiem, czego chcę. Powoli się odwracam i wtedy dwoje oczu, dwie zielone sadzawki — głębokie, grząskie, z ognikami — mamią mnie w krainę czułości, gry w zdobywanie przy-czołków ciała. Szmatki nam niepotrzebne, zdejmujemy z siebie bawełniane zbroje. Moją — szarą z koroneczką i Kangurzycą, i jego — z Tygrysiem na bokserkach.

Mój zdobywca całuje czule i coraz niecierpliwiej, finezyjniej, jego dłoń głaszcze, pyta, zagląda, pieści, aż wreszcie czuję go w sobie, obejmując kolanami jego biodra i powoli, powoli suniemy do finiszu. Janusz nagradza siebie i mnie gorąco, długo, mocnym szczytowaniem. Potem zasypiamy bez problemu, a rano...

Janusz budzi się przed budzikiem, jak skowronek, daje mi buziaka i wstaje. Ja zimą, gdy bywa ciemnica poranna, wstaję ziewająca, leniwa, na półobrotach, gdy wszyscy są już po śniadaniu, wchodzę do kuchni i zastanawiam się — na jakim świecie żyję, gdzie jestem?

— Nie wyspałaś się? — pyta czasem mama, gdy przypadkiem wpadnie raniutko, wracając z badań. — Trzeba było napić się melisy albo wziąć kalmsy. Za dużo myślisz, Gosiaczku, a do łóżka myśli brać nie trzeba! Wystarczy koszula.

— Taaak, racja! Jasne! — odpowiadam i chowam wzrok. Mama przecież czyta między wierszami. Z moich oczu, uśmiechu...

Janusz, widząc to, posyła mi buziaka i spojrzenie, po którym pąsowieję. Kocham go. I już. Niech sobie ma skazę, niech sobie inni wycierają pyski naszym „konkubinatem” (jak ja nie cierpię tego słowa!). Jest dobrze tak bardzo, że czasem aż się boję. Jestem taka szczęśliwa!

Druhna Anna powtarzała często: „Los bywa zazdrosny o szczęście”.

Wszystko ułożyło się tak jakoś sprawnie, dobrze, spokojnie. Tak, że to, co zdarzyło się później, w marcu, odebrałam jako złośliwość losu, chichot Lady Karoliny? Druhny Anny? Nie wiem, ale długo nie umiałam tego ogarnąć, zrozumieć.

Było tak:

Kaśka złapała grypę jakąś zjadliwą i długotrwałą. Po niej długo dochodziła do siebie. Marzec przekasała. Zaraz po świętach zawiozłam ją do przychodni, a sama zaszłam na pocztę i do składu budowlanego po brykiety na opał, do palenia w piecu, bo jednak nasz piec, jak się nagrzej od nich, to dłużej trzyma niż od zwykłego drewna. Była kolejka i czekałam. Kaśka

miała wyjść wcześniej i zaczekać na krzyżówce, bo nie chciałam, żeby czekała w przychodni. Tam tylu chorych, powietrze gęste od bakterii.

— Kasiu, nie siedź w przychodni, dobrze? Ubierz się i poczekaj na krzyżówce, koło młyna. Tak?

— Taaak, poczekam ja! — kiwa głową.

Kilka nocy było mroźnych i dżdżystych, a tego dnia, ciepło stopiło nocny lód na tej uliczce, co zjeżdża brukiem z rynku, od kościoła i ścieka stromizną koło młyna. Na kamieniach był lód pokryty wodą... Nasza Kasia stała i patrzyła, czy jadę.

Gdy podjeżdżałam, już poczułam, że stało się coś złego.

Kupa ludzi — wszyscy tak dziwnie na mnie patrzyli. Rozstąpili się w milczeniu, niektórzy ze strachem w oczach. Za nimi, w poprzek drogi stała ciężarówka z przyczepą, z której spadły bale drewniane. A na samej krzyżówce, otulona już kocami, leżała Kaśka w kałuży krwi, a nad nią Lucyna — pielęgniarka z ośrodka. Zdyszana z nerwów opowiadała mi, co się stało i że karetka już jedzie. Kierowca, blady jak papier, rwał włosy z głowy, kłął, płakał z nerwów.

Wszystko było jak zwolniony film.

O mój Boże! Upadłam na kolana obok Kaśki... Złapałam kontakt ze światem dopiero w Olsztynie, w szpitalu. Nie wiem, skąd Janusz się tam znalazł, a później mama z Tomaszem.

Kiedy już Kasia leżała na OIOM-ie, podłączona do aparatury oddychającej za nią, i nie odzyskiwała przytomności, stałam nad nią cały czas, głaszcząc ją i przeprasząc. Szlochałam i milkłam, i znów szlochałam. Nigdy jeszcze nie byłam tak poruszona, pełna poczucia winy i wstrętnej, lepkiej rozpacz. Janusz trzymał mnie wpół i szeptał jakieś uspokajające słowa. Znów naszym aniołem stróżem okazała się jego była żona — Lisowska. Chłodna, przytomna, zdecydowana, zajęła się Kaśką natychmiast. Zespół lekarzy tańczył nad nią, bo stan był bardzo ciężki. Kilka razy „uciekała”. A to oddech, a to serce.

— Ma bardzo uszkodzony mózg — szeptała Lisowska do Janusza.

Słyszałam. Dygotałam z przerażenia. Błagałam Kasię o przebaczenie. Niechby sobie czekała na mnie w poczekalni pełnej bakterii, ale by żyła! Miałam żal do siebie. Głupia, głupia!

Znów odbierało mi oddech od szlochu. W końcu Lisowska przyszła z pielęgniarką i dostałam zastrzyk. Janusz stał za mną i trzymał mnie mocno.

— Janusz, bądź obok niej stale, nie spuszczać z oka i melduj, gdyby cokolwiek się stało — rzuciła mu, wychodząc.

— Z Kaśką? — upewnił się.

— Nie, z Gosią! — fuknęła Lisowska.

— Ja...jasne — szepnął i kiwnął głową, nie wypuszczając mnie z objęć. Dopóki się nie uspokoiliłam na tyle, że mi wrócił normalny oddech.

Mówiłam do Kasi, żeby została z nami, że już nigdy jej nie zostawię samej. Że ją kocham bardzo. Spała? Słyszała mnie? Czy jej nie było? Nie wiem.

Wreszcie Tomasz przywiózł Basię. Wpadła jak rozpędzona kula. W przelocie ścisnęła mnie mocno. Wyszłam i zostawiłam je same. Patrzyłam z korytarza, jak Basia nachyla się nad Kasią i mówi do niej, całuje ją po rękach, a sama ociera łzy. Tomasz stał kamienny za szybą. Ja siedziałam wsparta o Janusza. Czułam, że opadam z sił.

Koczowaliśmy w tym szpitalu — nie wiem, jak długo. Czas mi umknął — rozmazał się, zatracił. Aż wyszła pielęgniarka, prowadząc złamaną wpół mamę. Wiedziałam...

Tomasz podskoczył i przejął Baškę. Dopiero teraz schowała głowę w jego sweter i rozplakała się bezgłośnie. Widziałam tylko jej drgające ramiona. Żadnego dźwięku. Staliśmy tak na tym korytarzu, tacy... połamani, szarzy i kompletnie oszołomieni. Tomasz pierwszy się odezwał:

— Chodźmy.

I tylko tyle.

Jechałam oparta o Janusza, już nie mając na nic sił. Czułam się jak pusty worek. Nie umiałam pozbierać myśli. Koło Tylkowa szepnęłam:

— Zabiłam ją.

Wtedy Janusz zjechał na pobocze, usiadł twarzą do mnie i ujął moją głowę w dłonie.

— Ma...Małgoś. Patrz na mnie. Zabił ją bal drze...drzewny. To był nie... nieszczęśliwy wypadek. Nie ma w tym twojej winy! Chodź tu.

I mocno, mocno mnie przytulił.

Mama z Tomaszem byli już w domu. Mama stawiała na stole kubeczki, czajnik wrzał już, zawiadamiając wszystkich kłębami pary, że da herbaty, a Tomasz rozpałał w piecu, bo było zimno jak w psiarni. Wychodząc, nie przestawiłam ogrzewania z pieca na kaloryfer.

Stałam naprzeciw mamy i milczałam. Czułam taki odpływ sił, że przytrzymałam się krzesła. Mama dotknęła mojej twarzy i szepnęła:

— Córeńko, co ci? Janusz, połóż Gosię do łóżka — zobacz, jaka jest zielona!

W pokoju, wystudzonym bardzo, trzęsło mną nieludzko, więc dałam sobie zdjąć spodnie tylko, i wpakowałam się do łóżka, zwijając się pod kołdrą w rogalik. Janusz siedział obok i gładził mnie po włosach. Nie mam pojęcia, kiedy zasnęłam.

Obudziłam się w nocy. Księżyc w nowiu, niebo ciemne i zima za oknem, i we mnie jakiś ziąb. Przypomniałam sobie wszystko i pociekły mi łzy. Zabiłam ją! Naszą Kaškę, swoją bezmyślnością. Swoim głupim pomysłem, żeby nie czekała na mnie w przychodni! Może wolałam ją zabrać z krzyżówki z lenistwa? Żeby nie parkować pod przychodnią? (Bo tam zawsze miejsca mało). Naprawdę zależało mi na tym, żeby nie złapała bakterii czy... na własnej wygodzie?

Ostatnio dbałam o nią jakoś intensywniej, bardziej po matczynemu, bo po tej boreliozie zrobiła się delikatna i ciągle łapała jakieś infekcje.

— Janusz — szepnęłam odruchowo.

Obudził się, jak zawsze — nie do końca, i podał mi swoje ramię pod głowę.

On tak ma, że potrafi być w takim... czuwaniu. Niby nie śpi, ale drzemie. Chyba jednak się przecknął.

— Przestań już, Gosieńko — szepnął.

— Mama z Tomaszem, kiedy poszli?

— Zaraz, jak zasnął.

— Mama... — zakwiliłam dziwacznie jak dzieciak.

— Przestań się obwiniać. Ona się o ciebie martwi, że się za...zabijasz tymi eks...ekspiacjami. Powiedziała też, że wi...widocznie nadszedł Kaśki czas.

— Tak powiedziała? Niemożliwe...

— Śpij. Strasznie się bałam, że ci się coś sta...stanie.

— Mi?

— Ci, ci! Bo w szpitalu zemdląłeś i wtedy na ulicy, i ba...bałam się, że ci jakaś żyłka pęknie... Że mi odfruniesz. Boję się o ciebie.

Wzruszył mnie. Trzymał mnie w ramionach, mój Janusz. Zwariowałabym bez niego. Muszę zasnąć. Rano trzeba będzie coś robić, gdzieś dzwonić... Załatwić. Żyć...

Spać. Pościę. Jeszcze trochę snu.

Janusz musiał rano do gabinetu. Obiecał, że szybko się sprawi. Ja zostałam w łóżku. Kompletnie nie wiedziałam, co robić? od czego zacząć? gdy zadzwonił Tomasz:

— Gosiu, Basia taka kiepska jest. Trzymała się wczoraj, ale nie spała, łażyła... Do rana się tłukła...

— Coś z sercem?

— Nie. Nie narzeka na serce, ale dopiero co zasnęła. Posiedzę z nią i jakbyś mogła — nie dzwoń, aż dam ci znać, że wstała. Co?

— Jasne... Dbaj o nią. Pa. Ja to ogarnę.

Co ja mam robić? Stałam w kuchni, w szlafroku i myślałam. Marysi nie mogę teraz zwracać głowy, bo ma zaliczenia i to ważne. Piernacki? Nie, sam jest nerwus. Wrona? No, niby tak, ale co ona załatwi? Gdzie? Karolawie? Nie wypada. Hmm. Wiem! Paula!

No, jasne, że tak! Ściągnę tu Paulinę i ona nam jakoś pomoże, rozgoni tę pustkę, marazm. Mariusz ma jakieś swoje sprawy i wziął urlop, więc gabinet na głowie Janusza. Ja jakoś nie bardzo wiem, co, gdzie i jak. Mamę trzeba oszczędzać. Paula jest młoda i rodzinna. To dobry pomysł!

I zadzwoniłam...